Nr. 17. We Lwowie dnia 29. kwietnia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



Ugoda czy walka?

Pod tytułem powyższym pojawiła się przed czasem niedawnym jedenasta z rzędu broszura wydawnictwa »Z dzisiejszej doby«, omawiającego najistotniejsze zadania nasze narodowe w zaborze rosyjskim.

Tym razem na stole jest kwestja ugody z rządem moskiewskim, zainicjonowana przez t. zw. stronnictwo ugodowe, tych nieodrodnych potomków galicyjskich stańczyków.

Zwolenników ugody z Rosją mieliśmy i dawniej. Najnowsi — których organami *Kraj* petersburski i warszawskie *Słowo*, a komiwojażerem L. Straszewicz — zamanifestowali się deputacją z Warszawy na pogrzeb Aleksandra III. Nazwa stronnictwa ugodowego niewłaściwą jest dla tych neo-ugodowców, pp. Baranowskich, Górskich i innych stańczyków warszawskich. Do ugody bowiem wyciąga tu rękę tylko jedna strona; druga, rząd moskiewski, żadnych warunków ugody nie stawia, wymaga jedynie bezwzględnej uległości. Omawiana broszura zbija dowody skuteczności takiej polityki uległości, których niby to ma dostarczać historja Galicji. Jeżeli, z jednej strony, bieg wypadków w Galicji w szóstym lat dziesiątku nie może wcale — pomimo wszelkich bałamuctw i matactw publicystów w rodzaju Koźmianów, Tarnowskich e tutti quanti — usprawiedliwić programu i akcji stronnictwa ugody, to bankructwo blisko z niem spokrewnionej partji dworskiej z p. Kościelskim na czele, w zaborze pruskim, los Niemców nadbałtyckich i Finlandji, przeciwnie, wyraźnie wykazują zgubność podobnej polityki.

Wszak dziś, mówiąc słowy poznańskiego *Orędownika*, »po czterech latach rozpusty politycznej przyznaje partja dworska (w *Kurjerze Poznańskim*):

1) że została w pole wyprowadzona;

2) że ją pan minister Bosse wyleczył z wszelkich złudzeń;

3) wreszcie, że z nauką języka polskiego jesteśmy tak daleko, jakeśmy byli po r. 1887.

Jestto formalne zwinięcie interesu politycznego«.

A Niemcy nadbałtyccy? »Są oni tak dalecy od wszelkich rewolucyjnych skłonności, jak żaden naród pod słońcem; ich lojalizm względem tronu jest ideałem niemożliwym do naśladowania; ich zasługi około ufundowania potęgi państwa rosyjskiego są niezmierne — a jednak, czy to wszystko ich ocaliło?... Wszystko tam idzie teraz, jak u nas: szkoły rosyjskie, a w nich nauczyciele Rosjanie; sądy rosyjskie, w nich sędziowie Rosjanie, nie rozumiejący miejscowego języka i porozumiewający się z Estami i Łotyszami przez tłumaczów; wśród ludu cała rzesza popów pracuje nad szerzeniem prawosławja itd.«

A Finlandja? Mieszkańcy tego kraju przecież zachowują się całkiem lojalnie, a pomimo to gadzinowa prasa rosyjska oburza się na nich za przywiązanie do konstytucji finlandzkiej, a rząd, za pomocą szeregu reform, dąży do rusyfikacji i szerzy prawosławje.

Czyż te przykłady nie wykazują dowodnie, czego się nasza lojalność ma od rządu carskiego spodziewać?

Nasze ruchy narodowe mogły być dla rządu moskiewskiego *powodem* do nadania uciskowi większego natężenia, nie były jednak tego ucisku *przyczyną*. Ucisk ten to nie kara za brak lojalności. To tylko konieczny towarzysz tendencji tego na poły bizantyńsko-mongolskiego państwa, zmierzających ku zasymilowaniu wszystkich swych różnoplemiennych części składowych, tendencji, do których musi się stosować każdy rząd i każdy car moskiewski. »Walka Rosji z polskością — to nie kara za powstanie, ale żywiołowe dążenie społeczeństwa rosyjskiego do zapanowania na naszem terytorjum«. Tego ucisku przemysłu naszego żądają moskiewscy przemysłowcy, ucisku rolnictwa — rolnicy, ucisku kościoła — duchowieństwo prawosławne, tej rusyfikacji — łaknąca posad niezliczona rzesza popowiczów i urzędniczych synów. A wszystkie te interesa podlewa gadzinowa prasa moskiewska sosem narodowym, religijnym, ba! nawet demokratycznym, twierdząc, że Moskwa bierze w obronę lud polski przeciw szlachcie!

Ucisk ten słabnie, rząd czyni ustępstwa wówczas tylko, gdy go do tego zmusza jakiś głębszy ruch narodowy, gdy ruch ten chce zażegnać. Jak tylko okoliczności pozwolą wrócić do dawnego systemu, rząd korzysta z położenia i prowadzi dalej swą bezwzględną politykę asymilacyjną. Sprawdza się stara zasada, że *żaden rząd nie dał nigdy ustępstw, do których walką wewnętrzną lub klęskami na zewnątrz nie był zmuszony!*

Można udowodnić faktami, że doznawaliśmy ucisku najstraszniejszego właśnie w chwilach, kiedy zachowywaliśmy się najspokojniej, kiedy stawialiśmy takie programy, jak: praca organiczna itp.

Zresztą ugodowcy nie widzą, bo niepodobna chyba przypuścić, żeby widzieć nie chcieli, faktu, że »sprawa pomiędzy nami a Rosją nie do tego jedynie się sprowadza, czy my uznamy tron carski, czy pogodzimy się z losem jego poddanych i zdecydujemy się szczerze i wiernie temu tronowi służyć, ale i do tego, czy zechcemy się poddać rusyfikacji, lub nie«. Chodzi tu więc nietylko o zrzeczenie się aspiracji do niepodległości, ale wprost o *kwestję bytu narodowego*.

»Polityka ugodowa ostatniej doby powstała u nas, jako przeciwstawienie hasłom walki, rzuconym przed kilku laty przez stronnictwo *obrony czynnej*...« Dziś rzeczy tak stoją, że właściwie nie ma potrzeby walczyć z programem ugodowców, który na razie jest zupełnie pogrzebany. Chodzić może tylko o to, aby zapobiedz powtarzaniu takiej akcji, aby utrwalić w narodzie przekonanie, iż jedynem środkiem do zdobycia lepszego losu jest *walka*. Rząd zaborczy nakreślił sobie plan podboju pokojowego, mającego za cel wytępienie nas całkowite — my temu planowi musimy przeciwstawić swój plan systematycznego oporu, przeciwdziałania wpływom rządu przez energiczną obronę wszystkich składników życia narodowego, wreszcie program stałej walki zaczepnej, mającej na celu zmuszenie rządu do ustępstw.

Jednem z ulubionych kłamstw ugodowców jest twierdzenie, że walką nic dotąd nie osiągnęliśmy. »Nie mówiąc już o wzmocnieniu świadomości narodowej, o pogłębieniu uczucia patrjotycznego, o korzyściach moralnych, które stuletniej walce z wrogiem zawdzięczamy, walka nam dawała i praktyczne korzyści«. Królestwo kongresowe, reformy Wielopolskiego, uwłaszczenie włościan, to wszystko były owoce walki.

»A jeżeliśmy w tem stuleciu tyle klęsk ponieśli, to nie dlatego przedewszystkiem, żeśmy szli do walki, ale dlatego, że w naszem łożysku społecznem płyną dwie rzeki — jedna jasna, druga mętna, że obok usiłowań zdrowych, budujących są zawsze usiłowania rozkładowe«, obok stronnictwa patrjotycznego — targowiczanie.

Oto gdzie przyczyna klęsk naszych. »Chcąc osiągnąć cośkolwiek, trzeba odrazu rozpoczynać walkę z obu wrogami, trzeba walczyć zarówno z rządem, jak i z tym wrogiem wewnętrznym, który jest stokroć niebezpieczniejszym, bo podkopuje te szańce, któreśmy przez dziesiątki lat sypali i w każdej chwili gotów jest wydać twierdzę w ręce wroga«

p.



„Bulletin Polonais“

W PARYŻU.

II.

Parlez? Je veux bien. — Mais que dire?
Już mi biedna pęka głowa...
Faut-il pleurer ou faut-il rire?
Myśl się chwieje, plączą słowa.

Et puis quelle langue employer?
Boć dwojaki słyszę dźwięk;
A quel joug faut-il me ployer?
Jak tu wybrać! — Twardy sęk!

Lorsque je veux chantez la France,
Wnet mi w poprzek staje Polska;
Mes deux langues entrent en danse —
Istna wieża ba . . . tyniolska!

Ten wyjątek z toastu jednego z byłych uczni szkoły w Batignolles wprawia zapewne w przerażenie makaronizmem swym pruderję niejednego ucha. Na pocieszenie przerażonych pośpieszam dodać, że jest to żart ulotny i tylko żart, który miał zresztą wielkie powodzenie na ostatnim bankiecie batyniolczyków. A nie wiem, czy szanowny czytelnik zna również przepyszne naśladowanie Kochanowskiego w języku polskim (Satyr) lub trzy tomy przekładów Słowackiego w języku francuskim, które wyszły z tejże »wieży ba... tyniolskiej« z pod pióra p. Gasztowtta, autora makaronicznego toastu? Gdyby je znał, dałby zapewne dyspensę autorowi na dalsze makaronizmy, a sam ciekaw byłby, jak wygląda Konrad Wallenrod, Treny, Balladyna w przekładzie francuzkim! Niestety: my i dyspensy udzielać nie lubimy i ciekawości miewamy mniej, niż — zamiłowania do krytyki...

Jeżeli toast jest tylko żartem, to szczerą i poważną prawdą pozostaje pewna dwoistość duchowa ludzi, których usiłowania stworzyły *Bulletin Polonais.* Ażeby ją lepiej zrozumieć sprobujmy poznać w kilku rysach koleje życia jednego z ich typowych przedstawicieli. Wyobraźmy sobie, że jest to człowiek w wieku dziś lat 50, syn emigranta, który przyszedł na świat n. p. w La Guerche (Cher), najbardziej środkowym ze środkowych departamentów Francji. Wyobraźmy sobie, że ojciec jego już musiał po rozbiciu w r. 1831 szukać chleba i budować jakieś znośne istnienie na obczyźnie, co mu zresztą nie wyziębiło wspomnień i przywiązań z sobą przyniesionych, wyobraźmy, że matka jego była francuzką, a że ojciec był sam z pokolenia romantyków, więc i żonę sobie wybrał z tej rasy kobiet francuskich, które u nas tworzyły o gorejących i szlachetnych sercach entuzjastki, a które i we Francji istniały — kiedyś. Ojciec, zapracowany, mógł tylko synowi przekazać znajomość rzeczy i instynkt, ale matka, choć nie Polka, umiała go idealnie przywiązać i właśnie utrwalić w polskości, bo czuła sama idealnie. Chłopiec dostał się następnie do szkoły w Batignolles, gdzie jeszcze towarzyszyły mu wpływy potęgujące polskość i ów idealny ferment lepszych aspiracji. Już zresztą na tym stopniu rozwoju musiał być dość dobrym francuzem, żyjąc ciągle w otoczeniu francuskiem i mając, kto wie jak długo, w niem pozostać. Później przychodzą coraz wyższe wymagania nauki: już klasa retoryki z polszczyną nic nie ma wspólnego. W klasie filozofji byłoby jej zapewne jeszcze mniej, tem bardziej, że okres ten w nauce odpowiada również pewnemu wezbraniu młodocianego serca, które dość jest żywiołowe i mało zależy od konstelacji politycznych. Ale ponieważ chłopak urodził się po roku 1840. więc młodość jego przypada w okresie lat 1861—1864. Już więc w klasie retoryki częściej się toczą debaty między nim, a resztą batyniolczyków nad wypadkami w Polsce, niż nad lekcjami.

Później — jeżeli młodzieniec ma w sobie trochę usposobienia literackiego — zjawiają się pierwsze próby twórczości: będą to oczywiście wiersze, w których braterstwo ludów i niepodległość Polski sprzysięgną się na śmierć tyranom; jeszcze później — zarówno poeta jak i jego prozaiczni koledzy z Batignolles — znikną z klasy filozofji. Jedni nie wrócą wcale, inni wrócą po paru latach z pola walki, jeszcze inni zawędrują z wyprawą Łapczyńskiego aż do Szwecji — wszyscy jednak wyruszą w jednym kierunku, porwani jednem uczuciem.

Później znowu nastąpi przerwana praca dla nauki, dla chleba. Niektórzy nigdy już nie dosięgną szczytów pomyślności osobistej wskutek braku studjów w klasie filozofji; inni po wielkich wysiłkach zdobędą byt niezależny jako profesorowie, doktorzy, inżynjerowie, rozproszeni po całym obszarze Francji i jej kolonjach. I tak utrwali się w nich ta wieczna dwoistość, ten makaronizm ducha, bo zawsze będzie w nich biło, jak serce, wspomnienie wyprawy polskiej, a ciągle trzeba będzie żyć, uczyć się, uczyć i pracować w warunkach francuskich.

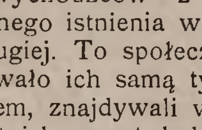
Znam zresztą drugi rodzaj takiego makaronizmu: jest nim człowiek dziś lat trzydziestu kilku, który więc nie mógł opuścić klasy filozofji w r. 1863. Rzecz jednak ciekawa: syn rodziny emigranckiej już, do kraju jedzie jednak na swojego rodzaju wyprawę i nie bez niebezpieczeństwa, bo obładowany wiatykiem »zakordonowych« wydawnictw. Ten drugi, ponieważ miał koleje życia mniej poorane, szedł drogą we Francji normalniejszą t. j. bardziej francuską. Mniej więc, za przykładem swego pokolenia, bratał się z muzą, więcej z rutyną naukową. Stąd w rezultacie posiada palmy akademickie, ale nie napisał Satyra, nie ułożył porównawczego kursu literatur polskiej i francuskiej. Mniej więc panuje nad językiem polskim, lecz za to tem gorliwiej szpera za wszystkiem, co polskie w pamiętnikach, historji, monografjach francuskich. Obaj wreszcie z równą gorliwością uczą dzieci po polsku, ogniskują i gromadzą swych współwierców i rodaków i należą we Francji i w Polsce do protestujących czynem i uczuciem.

Starszy jest wizerunkiem pana Wacława Gasztowtta, młodszy pana Juljusza Jasiewicza — dwóch głównych redaktorów *Bulletin*'a. Mógłbym zresztą, o ile idzie o charakterystykę wpływów i głównych koleji losu, równie dobrze wymienić cały szereg innych współpracowników i członków komitetu redakcyjnego wraz z dwustu mniej więcej członkami stowarzyszenia byłych uczniów. Wszyscy oni, z małemi odmianami i wyjątkami, wzrastali na obczyźnie pod dwoistym wpływem idealnych aspiracji lub tradycji ich ojców i ognisk dawnych wychodźców z jednej strony, a warunków realnego istnienia w społeczeństwie francuskiem z drugiej. To społeczeństwo zresztą także nie przykuwało ich samą tylko obrożą konieczności: owszem, znajdywali w niem aż nadto pokrewnych, bratnich nawet ludzi i dążeń, jak ongi rówieśnicy Mickiewicza i Michelet'a.

Mógłbym dużo jeszcze przytoczyć faktów i czynów charakterystycznych, świadczących jak nieustannie jeden i drugi prąd przeplata się w życiu batyniolczyków we Francji. Możeby jednak zakrawało to na podnoszenie do pozorów bohaterstwa tego, co sami oni uważają za obowiązek tylko, nie tak znów trudny w pełnieniu, albo nawet za lepszą, piękniejszą stronę swego życia?

Chodziło mi jedynie o scharakteryzowanie zasadniczego zdaniem mojem, rysu grupy, tworzącej ognisko i oparcie *Bulletin*'a. Przebieg ich życia, lepiej niż cytaty świadczyć będzie przed czytelnikiem o duchu pisma.

Dok. n. *Antoni Potocki.*



Ideał panny Julji.

(Dokończenie)

Panna Julja podniosła się żywo, wyprostowała, dłonią przesunęła po oczach i zwróciła się, rzuciła raczej ku niemu.

— Ach panie!... życie mi wracasz...

Oczy wilgotne jeszcze, pełne dziękczynnej radości podniosły się ku niemu; na ustach błądził jakiś półrzewny, półwesoły uśmiech.

— Czem się odwdzięczę? Na zawsze... Nie, nigdy nie będę w stanie...

Nie mogła znaleźć wyrazu, któryby dostatecznie uczucie jej wypowiedział; wreszcie szybkim ruchem w obie dłonie ujęła jego rękę i serdecznie ją uścisnęła.

On milczał i tylko wzrokiem płonącym wpijał się w twarz jej, w usta, w oczy, w postać całą, wdzięcznie ku niemu podaną. I nagle zbladł; oddech zamarł mu w piersiach. Nie wypuszczając jej dłoni, drugą ręką opasał jej ramiona i gwałtownym uściskiem porwał ją ku sobie.

— Moja ty, moja... moja... — szeptał pochylony ku niej, szalonymi pocałunkami osypując jej włosy i czoło.

Przed panną Julją ziemia się rozwarła, czy piorun uderzył — nie pojmowała, nie pamiętała nic, czuła się tylko bez granic wstrząśnięta. Gdy przyszła nieco do siebie, spostrzegła, że stoi po drugiej stronie biurka, całą jego długością oddzielona od profesora, który blady i drżący posuwał się ku niej i wstrzymywany jej wzrokiem, stawał.

— Nie rusz się pan... Jak pan możesz?...

Dziwnie jej samej wydały się własne słowa, rozbrzmiewające w wielkiej ciszy.

— Odejdź pan, odejdź! Nie chcę widzieć pana...

I rzekłszy to, sama rzuciła się do drzwi.

Profesor, który trzymany jej wzrokiem, jak dziecko skarcone zdawał się błagać litości, teraz widząc ją uchodzącą, dogonił ją w paru krokach i zagrodził jej drogę.

— Nie odchodź... Nie igraj ze mną — bełkotał niewyraźnie. — Czy nie widzisz, że szaleję, że żyć dłużej bez ciebie nie mogę?...

A gdy ona w przerażeniu stanęła, patrząc na niego wzrokiem pojmanego ptaka, przysunął się bliżej i klęknąwszy, opasał ją ramionami.

— Nie zostawiaj mnie... Nie rzucaj! Och, Juljo...

Łkanie głos mu zatamowało, ukrył twarz, na którą łzy mu wybiegły.

Czy drgnęło co tam w sercu panny Julji? czy odżyło jakie dawne wspomnienie? Pochyliła się ku niemu i głosem złamanym szepnęła:

— Mój Boże, czego pan chcesz odemnie?

Nuta współczucia, która drgnęła w tych słowach, do ostatka go wykoleiła.

Porwał się z klęczek i pierwej, nim się zdołała opamiętać, chwycił ją w ramiona i uniósł w głąb pokoju.

W pannie Julji zawrzało; szarpnęła się z oburzeniem, lecz krępujące ją ramiona zdawały się być z żelaza.

Pojęła, że moralną bronią walczyć musi.

— Pan się zapominasz — rzekła sucho. Puść mnie pan! Nie jesteśmy na scenie... ani za kulisami.

Obu rękami wsparła się o jego ramiona, i mrużąc zlekka oczy, spojrzała mu w twarz chłodno.

Ramiona mu opadły, cofnął się. Doświadczył wrażenia otrzymanego policzka. Podszedł ku oknu, skrzyżował ręce na piersiach i wzburzoną twarz odwrócił od niej.

Panna Julja pewnym, równym krokiem podeszła do stołu, wzięła kapelusz i rękawiczki i powoli zwróciła się do drzwi.

— Żegnam — powiedziała od progu lodowo spokojnym tonem i znikła za drzwiami.

Powoli przebyła przedpokój i wschody, otwierającemu drzwi lokajowi rzuciła do ręki parę srebrnych monet.

Lecz gdy zatrzasły się za nią wielkie drzwi frontowe, gdy znalazła się sama na ulicy, sztuczna energja prysła w jednej chwili. Ostatecznym wysiłkiem wstrzymując łkanie, tłumione w piersiach, biegła, sama nie wiedząc gdzie, byle prędzej, byle dalej. Instynktownie wybierając mniej ludne ulice, znalazła się wkrótce w tym samym parku, gdzie przed godziną tak jasne i spokojne snuła myśli. Upadła na ławkę znękana i ukrywszy twarz w dłoniach, wybuchnęła łzami.

Czego płakała? Nie umiałaby może jasno sobie zdać sprawy. Ból ogromny, zmieszany z poczuciem zniewagi, podnosił się z głębi jej duszy i wzburzał ją całą. Nigdy w życiu tak brutalnie upokorzoną nie była. Z jakiej przyczyny? Jakiem prawem? Szła drogą uczciwą i prostą, żadna myśl zła nie przemknęła w jej duszy, jak śmiano tak ją znieważyć? Jej losy ważyły się w tej chwili, więcej niż jej, bo kochanego brata. Cała zawisła na tej nitce nadziei, która miała albo pęknąć, albo stać się liną ratunkową dla obojga — a tu, obok ktoś śmiał napawać się jej widokiem, ktoś śmiał...

Kto mu dał prawo do tego szaleństwa, jak je sam słusznie nazwał? Czy ona?... Nigdy, żadnem słowem, żadnem wejrzeniem, pamięta to dobrze; choćby nie pamiętała, ręczy za siebie. Była mu przyjazną i wdzięczną, czyż nie wolno wyrażać tych uczuć bezkarnie? Czyż dla tego, że jest młodą kobietą, nie ma prawa dać uczuć mężczyźnie, że mu sprzyja, jak szczery przyjaciel, że umie ocenić, jeśli co dobrego dla niej uczyni? Nie, nie! nie w tem zło. A tylko?... Jak on śmiał, jak śmiał! Lecz może pokochał ją tak nagle? Miała ochotę wybuchnąć gorzkim śmiechem. Miłość, która znieważa, cóż to za miłość! Jeśli kiedy czuł dla niej coś cieplejszego, coś trochę... to było wtedy, przed sześciu laty. Nie upokorzył jej wtedy żadnym brutalnym wybuchem; była tam miękość jakaś, rzewność, pokora niemal, obok ojcowskiej opieki. Takiego ona szanowała, taki był jej ideałem. A teraz... Och, ohyda!

Wstrząsnęła się; zdawało się, że parzą ją własne jej ramiona, jej włosy i oczy, zbrukane jego pocałunkami. Nędznik! — syknęła przez zaciśnięte zęby. Żyć bez niej nie może... Nie powiedział jej tego wtedy, gdy żegnając go, tak dziecinnie zdradziła się ze swem uczuciem. Nie powiedział jej tego przez całe sześć lat oddalenia, może nawet nie myślał o niej nigdy, a teraz, w ciągu dni kilkunastu, szaleje za nią! Toć pierwej, przez lat kilka wspólnej pracy mógł poznać ją lepiej, niż teraz, gdy jedynie sprawą brata była zaprzątnięta. Ale wtedy była mizernem, wyniszczonem pracą i niedostatkiem dziewczęciem, a teraz — »zmieniła się znakomicie!«

— A, nędznik! — szepnęła znów przez wargi. — Filister, nędzny, groszowy filister... on, mój niegdyś ideał!

Tyle było bólu w tej myśli, że łzy piekące wybiegły jej na oczy.

— Co za szczyt naiwności z mej strony! Brać za nic to jego nagłe mieszanie się, owe niewyraźne półuśmiechy, owe rąk uściski, które miały być braterskiem współczuciem... Trzeba zawsze stać na wodzy, w każdem słowie podchwytywać fałszywą nutę, w każdem spojrzeniu lękać się obelgi, w każdej oznace przyjaźni — ukrytej intencji. Nie można, gdy się jest młodą, mówić, co się myśli, ani wyrażać jasno i otwarcie najczystszej przyjaźni, bo cię posądzą o gotowość do wszelkich ustępstw... na które tylko czekają...

— A, jaki nędzny świat! Jeden ściek zepsucia, jedno wirowanie zwierzęcych instynktów...

Końca nie było tym myślom. W szalonym pędzie zmieniały się jedna za drugą, to gorzkie, to szydercze, to urągliwe nad swą dawną wiarą w ideały — a wszystkie rozbijały jej duszę i tak gięły ku ziemi, tak gięły...

Nagle wspomnienie jak ostrze noża uderzyło ją w serce. Wyprostowała się, ręce sztywnie usunęły się na kolana.

— Adaś... — szepnęła pobladłemi ustami — Adaś...

Zapomniała o nim aż dotąd.

Wrócić? prosić o list?

— Nigdy! — zawołała, prostując się całą postacią.

Zamyśliła się długo, głęboko, gorzko. W spuszczonych w ziemię oczach odbijał chłodny, ponury

blask; między brwiami legła głęboka zmarszczka, która na zawsze już tam pozostała.

— Wszystko skończone! — wyrzekła głucho, wolnym krokiem wychodząc z ogrodu.

Tego dnia jeszcze upakowała swe rzeczy do drogi, aby wieczornym pociągiem powrócić do domu.

— Powiem Adasiowi, że robiłam wszystko, co mogłam — powtarzała sobie przez wieczór cały.

Będąc już na dworcu, gdy z kupionym biletem odchodziła od kasy, spostrzegła przed sobą zgiętego we dwoje lokaja profesora. Mimowolny rumieniec purpurą pokrył jej policzki.

— Jaśnie pan kazał dziś koniecznie oddać pani, bo jutro wyjeżdżamy za granicę — mówił lokaj, podając list.

Zawahała się na jedno mgnienie oka, chciała sługę odpędzić, listem mu w twarz cisnąć; jego pytające wejrzenie opamiętało ją; wzięła pismo i nie rzekłszy słowa, wsunęła je do torebki. Już w wagonie drżącą ręką rozerwała kopertę i list do światła podniosła. Był to ów ranny, polecający Adama list i ani słowa więcej. Odetchnęła z głębi piersi.

Tak więc, sprawa była wygrana — a jednak panna Julja jechała do domu smutna; smutniejsza jeszcze, niż wtedy przed sześciu laty...

W. Dalecka.

KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

II. Bukiecik rozmarynu.

(Ciąg dalszy).

O, matka, ta wszystko przejrzy, wszystko odgadnie, niema drugiej takiej, jak ona! Paweł umie wszystko, co do nauki należy, ona zaś wie o wszystkich rzeczach przyrodzonych. Gdybyż mogła pożyczyć dziś córce swej mądrości choćby na jedną tylko godzinę! Jaka szkoda, że to się zrobić nie da: żaden człowiek nie może bowiem ani wziąść rozumu od drugiego ani się go sam nauczyć, choćby tego najusilniej pragnął, tylko musi przyjść na świat w taki mianowicie dzień, kiedy go Bóg rozdaje. Matka urodziła się na boże ciało, a tacy ludzie, podobnież jak ci, co ujrzą światło dzienne w święto wielkanocy lub bożego narodzenia, posiadają dar ducha. I gdyby Celka mogła się poszczycić mądrością swej rodzicielki, toby nie trwożyła się teraz na myśl, jak jej droga wypadnie; z całą owszem wiedziałaby pewnością, że ani się potknie, próg przestępując, ani czołem o drzwi nie uderzy, gdy je będzie otwierała, ani języka w gębie nie zapomni, gdy mówić jej wypadnie. Jakiby też ślub należało jej uczynić, aby się od wstydu uchronić? Krzepić się jednak musi na duchu, choćby i bardzo jej było ciężko i wciąż sobie powtarzać, że ani razu jeszcze nie słyszała, aby Paweł lekko kogoś traktował, lub z kogo się wyśmiewał, jak to czynią inni chłopcy. Niema w nim ani odrobiny pychy lub szyderstwa, przyzna to każdy.

I nietylko nie jest pyszny ani szyderski, ale ma nadto lepsze serce, niż ktokolwiek z ludzi, chodzących po świecie, chociaż ich jest z pewnością wiele tysięcy. Niech tylko grabarz wstąpi przed sumą do gospody na kufelek piwa, zaraz go Paweł woła ku sobie, sadza obok na ławce i póty nie da spokoju, aż grabarz nie wychyli jego kufelka, choćby się stary z całej siły bronił, nie chcąc uchodzić w jego oczach za natręta, który tego tylko oczekuje, aby go poczęstowano zadarmo. To też ojciec nie może znaleźć dość słów na pochwałę Pawła, nadmieniając z goryczą, że inni sąsiedzi ani głową nie kiwną, widząc, że to tylko grabarz we drzwiach się ukazuje. Nikt, ale to zgoła nikt — prócz jego jednego — nie zwraca uwagi na tego dobrego, starego ojczulka, a to dla tego zapewne, że nie jest on ani bogatym ani możnym, ludzie zaś lgną teraz tylko do pieniędzy lub zaszczytów. A nikt o tem nie pomyśli, że każdy z nas musi w końcu pójść pod ziemię, a jakżeby się tam dostał, gdyby nie było takich, coby mu zgotowali uczciwie miejsce ostatniego spoczynku. Ojciec zresztą nie potrzebowałby być koniecznie grabarzem, gdyby sam tego nie chciał i takiego zajęcia sobie nie obrał. Miał stryjecznego brata kupca, który jeździł do Saksonji sprzedawać gęsi i jego ze sobą zabierał, ale ojciec spostrzegł niebawem, że kto handlem się zajmuje, ten musi choć czasami kogoś oszukać, a to tak było sprzeczne z jego przekonaniem, że rychło zaniechał kupiectwa. W owym czasie właśnie zmarł stary grabarz i ojciec wolał spełniać choćby o suchym kawałku chleba jedną z cnót chrześcijańskich, niż uganiać się za pieniędzmi, które niczyjej duszy nie przyniosły pożytku, a tylko doczesny chyba dobrobyt zapewniły — a któremuż chrześcijanowi może to wystarczyć?

I jakżeby Celka mogła nie mieć życzliwości dla Pawła, gdy on jeden tylko umie ocenić należycie zacność jej ojca i tak jawny okazuje mu za nią szacunek. Bo za cóżby innego tak był dla starego uprzedzającym? O gdyby mogła wywdzięczając się mu za to, ze swej strony ucieszyć go czemkolwiek? Łamie sobie nad tem głowę dzień i noc, ale na żaden pomysł szczęśliwy wpaść nie może. Los okazał się względem niego bardzo łaskawym: wszyscy znajomi żywią dlań szczerą życzliwość, a każda dziewczyna, ktorąby pokochał, chętnie, ach, jak chętnie zostałaby jego żoną. Nie można mu życzyć nic więcej po nad to, co już posiada, w jakiż więc sposób mogłaby mu swoją okazać wdzięczność?

Gdy Celka rozmyśla nad tem niekiedy, zapala się w jej duszy tak żywe pragnienie, że aż łzy cisną się do powiek; wówczas musi skryć się z przed oczu ludzkich i rzewnie a gorąco wypłakać się gdzie w samotności. Niekiedy znowu chciałaby, aby spotkała go jaka klęska, aby stracił całe mienie i przyjaciół — a wówczas nie obawiając się go tak, jak dziś, pośpieszyłaby ku niemu sama, z własnej woli, nie czekając, ażby ją tam kto posłał, ofiarowałaby mu wszystko, co posiada, dopomogłaby mu, czemby tylko mogła, ha; poszłaby nawet dla niego do służby, aby go przekonać. że są jeszcze wdzięczne dusze na świecie. A gdyby zachorował na jaką bardzo niebezpieczną i zaraźliwą chorobę, w której każdyby się go bał i unikał, ona nie odstępowałaby od jego łoża, służyłaby mu, jak małemu dziecku, choćby wiedziała, że sama wskutek tego z życiem się rozstanie. Zaledwie jednak taka myśl przyjdzie jej do głowy, już się lęka i przeraża, aby grzeszne, bluźniercze jej życzenie nie spełniło się naprawdę... O nie, nie, uchowaj Boże! Niech raczej Paweł nic i nigdy o niej się nie dowie, niech nie pamięta nawet, że ona żyje na świecie, niż aby miał wdzięczne jej serce tą drogą poznawać! Całą noc modliła się w trwodze i trosce, błagając Boga, aby zachować go raczył od wszelkiego nieszczęścia, a na jej słowa żadnego, ale to zgoła żadnego nie dawał baczenia.

I dziś miała jedną z takich nocy: wciąż snuło się jej po głowie to to, to owo... eh, wspominać nawet nie warto, bo nie było to, zaiste, nic mądrego!

Przed udaniem się na spoczynek stanęła w oknie. Cicho było i jasno na dworze, a gwiazdek tyle na niebie mrugało, jakby kto nasiał. W ogrodzie ani listek nie zaszemrał, tylko od czasu do czasu jabłko opadło z jabłoni. Jak lubiła dawniej wpatrywać się tak w złote oczy cichej nocy! Ale dziś odbiegła od okna i cisnęła się na łóżko, jak gdyby cały świat z przepyszną swą krasą stał się dla niej obojętnym. Źle jej było wieczorem, ale gorzej jeszcze w nocy. W komorze ćwierkały świerszcze i chrobotały myszy, pod strzechą trzepotały gnieżdżące się tam gołębie, a myśli w głowie większy jeszcze niepokój czyniły. Wzburzyły się naraz wszystkie i sprawiały jej ból, ostry ból. Gdyby chciała opisać wszystko, co przez głowę jej przemknęło, powstałby stąd nie jeden, ale dziesięć kalendarzy. Aż wstydzić się musi teraz przed jasnem słoneczkiem. Całe szczęście, że myśli nie pozostają wypisane na czole, w przeciwnym bowiem razie nie mogłaby się nikomu, a zwłaszcza Pawłowi dzisiaj pokazać.

Gdy wstała z rana, matka pytała ją troskliwie:

— Co ci jest dziewczyno? oczy masz jak maślanka, a lica niby blade maki.

— Nic mi nie jest, bo i cóżby mi być mogło? — tłumaczyło się dziewczę.

I czegoby to oko matki nie poznało po niej? Gdy Celka palec sobie skaleczy, matka wie o tem wpierw, niż ona sama. Aby uniknąć dalszych jej pytań, zarzuciła pośpiesznie sądy z pustemi konwiami na ramiona i za chatę po wodę pobiegła. Ledwie się po nią schyli, gdy widzi, że tam koło kamieni między głogowymi krzewy coś skacze sobie wesoło. Była to czerwona, niby lis, łasiczka. Skoro tylko źwierzątko ją dostrzegło, zaraz na tylnych nóżkach przysiadło i oczy w nią utkwiło, jakby coś jej chciało powiedzieć. Celka również wzroku od niego oderwać nie może i tak przez długą chwilę wpatrują się w siebie wzajemnie, aż matka zawołała z chaty, zapytując, co się z nią i z wodą stało. A gdy córka wytłumaczyła się dla czego tak długo nie wracała, matka radośnie klasnęła w dłonie, mówiąc:

— Do czyjej zagrody czerwona łasiczka przybiegnie, tam wkrótce szczęście zawita. Na ciebie spojrzała, a więc dla ciebie ono zabłyśnie. Wszak powiadają ludzie: »po mglistym poranku słoneczny dzień«, a ty, niebożątko, smutną miałaś pierwszą młodość przy ubogich rodzicach, ale teraz chyba ci się uśmiechnie wesele. Daj-że nam, Boże, wszystkim tego doczekać!

Ale któż to zdąża tam miedzą, idąc wprost na spotkanie Celki? Byłażby to młoda Cywkowa? Ma się rozumieć, że ona! O jakby nie chciała z nią się spotkać! Niegdyś była to najdumniejsza z całej wsi dziewczyna, od czasu zaś, gdy wyszła za gospodarza do sąsiedniej wsi, stała się bardziej jeszcze niedostępną. Tak mało ma życzliwości dla ludzi, że gotowaby była zazdrościć bliźniemu nawet wróblego gniazdka, nawet czystego powietrza. Niech tylko kto włoży na siebie coś nowego, zaraz wytrzeszcza nań oczy i złości się, ale sama to nawet w powszedni dzień chodzi wystrojona, niby jaka młynarka, i nie wdzieje na nogę innego obuwia, jak sznurowane na obcasach buciki z białem wyszywaniem i czerwonemi tasiemkami. To, co wypowiadają jej usta, bywa zwykle bez głowy i nóg — jak to mówią — natomiast posiada mnóstwo kolców. Jak tylko dostrzegła Celkę, zaraz przystanęła, ale nie z przyjaźni dla młodej dziewczyny, tylko aby się przed nią pochełpić.

— Dziś w południe przypomniałem sobie właśnie, że odpust tuż za pasem — woła już zdaleka donośnym głosem — u nas bowiem wcześniej on przypada, niż u was. Śpieszę więc przypomnieć matce, aby koniecznie przyszła do nas kuchmarzyć*, a ja natomiast nie omieszkam

---

* Do zamożnych gospodarzy przychodzą w sobotę przed odpustem ich krewne z sąsiednich wiosek i pieką ze swojej mąki w ich piecach kołacze dla swej rodziny. Mężowie wstępują wieczorem w towarzystwie znajomych po młode swe żony i przed odpustem jeszcze weselą się i ucztują społem z gospodarzami domu. (Przyp. aut.).

pójść do niej. Ale sama dźwigać zapasów z pewnością nie będę: wezmę ze sobą dziewczynę, aby niosła kosz, do którego nakładę tyle mąki, sera, maku, rodzynek, ile ich tylko udźwignąć będzie mogła. Skoro ma być święto, niechże będzie prawdziwe święto. Mąż wstąpi po mnie wieczorem, może przyprowadzić ze sobą tylu znajomych, ile będzie chciał: wystarczy dla wszystkich kiszek i kiełbas smażonych. Znasz mnie z tej strony, że się zawstydzić nie dam.

Celka słucha milcząca. Nie pożąda bogactw, nikomu i niczego nie zazdrości, ale w duchu musi przyznać, że miła to rzecz zaprosić męża do rodziców, jak to uczyni Cywkowa, przyszykować tam rozmaite dla niego przysmaki i wyglądać, aż przyjdzie w towarzystwie przyjaciół i pysznić się przed nimi będzie, że tak umiejętną i dobrą ma gosposię. A starzy rodzice, patrząc na to, radują się szczerzej jeszcze, niż młodzi. Nad takie szczęście niema już chyba doskonalszego na świecie.

— A ty, Celko, dokądże to tak biegniesz?— zapytuje z koleji Cywkowa, gdy się już do woli naopowiadała jak zamożne mają gospodarstwo, ile dostaje tygodniowo za masło, ser i jaja, ile to mendli zwieźli tego lata do stodoły, ile już wymłócili, a ile jeszcze mają do wymłócenia korcy zboża.

— Tu zaraz do stolarzów — bąknie Celka nieśmiało.

— Do stolarzów? I pocóż to?

— Mam prosić Pawła, aby zechciał jutro stanąć za drużbę Veronce Adamównie. Ona sama być dzisiaj u niego nie może, bo pobiegła do miasta po wieniec i trzewiki. Słyszałaś zapewne, że śpieszy na gwałt z weselem. Dziadek pana młodego zachorował ciężko i pragnie, aby ślub odbył się jeszcze za jego życia.

Cywkowa po trzykroć zmierzyła Celkę od stóp do głowy ostrem spojrzeniem, a dziewczę za każdym razem drgało, jak gdyby błyskawica ją przeszywała.

— A ty, jak się domyślam, druchną masz być, skoro cię śle z rozmarynem do drużby.

Tłumacz. z czeskiego
C. d. n. *M. W.*

Przegląd pism.

»Żytie i Słowo« — Dwumiesięcznik poświęcony literaturze, historji i folklorystyce. — Rocznik drugi. Zeszyt II. — Marzec-Kwiecień. Lwów 1895. — Str. 161—320.

Na początku zeszytu mamy garść przekładów pióra dra. I. Franki i P. Hraba (Ukraińca). Dr. Franko przełożył trzy poezje niemieckiego poety K. P. Meyera oraz dziesięć ustępów z »Izmaragdu«, staroruskiego zbioru sentencji i przypowieści moralizujących, ułożonych w pewien system. P. Hrab dał dwie poezyjki małoznanego poety rosyjsko-syberyjskiego Ramszewa.

Potem następuje kilka listów wybitnych działaczy ruskich: M. Hryniewieckiego (do hr. M. Ossolińskiego), T. Zarewicza i A. Kralickiego i trzy końcowe akty fantastycznego dramatu I. Franki »Sen księcia Światosława«.

Dział surowych materjałów folklorystycznych nader bogaty i ciekawy. Znajdujemy tu pieśni, legendy, klechdy, nowele i fabliaux, tudzież opowiadania o osobistościach historycznych. Pomiędzy temi ostatniemi znajdujemy opowieść o królu Sobieskim i żydach żółkiewskich i o kopcu unji lubelskiej we Lwowie.

Po dalszym ciągu obszernej powieści I. Franki, »Filary społeczeństwa« następuje przedmowa p. A. Krymskiego (Ukraińca) do przekładu Szach-Nameh Firdusego, słynnego poety perskiego. Przedmowa ta zawiera bjografję poety, treść poematu oraz bibljografję przekładów i monografji o tem dziele.

Prof. Dragomanow podaje nowe warjanty śpiewów kobzarzy ukraińskich, a p. Zaniewicz ciągnie dalej swą rzecz o dążnościach literackich Rusinów galicyjskich, zastanawiając się w tym rozdziale nad wypadkami lwowskimi w marcu 1861 r. Następnie idzie dokończenie artykułu M. Vernes'a o ewangeljach, przełożonego na śliczny język ukraiński przez p. L. U.

P. W. Ochrymowicz, który już dał się poznać zaszczytnie w literaturze naukowej ze swych studjów nad obrzędami weselnymi, rozpoczyna zajmującą pracę o zwyczajach prawnych ludu ruskiego.

Cerkiewny tekst legendy o św. Bazylim i Euladjuszu, biografja Modesta Hryniewieckiego oraz parę notatek zamykają zeszyt niniejszy.

L. Wasilewski.

PRO MEMORIA.

30. kwietnia 1848. Mierosławski, walcząc pod Miłosławiem na czele niecałych 2 tysięcy powstańców, zmusza 5 tysięcy Prusaków do ustąpienia z pola bitwy. Chłopi poznańscy zdobyli w tej bitwie »czarnemi od pługa rękami« pruskie armaty.

1. maja 1832. Zniesiony został przez cara Mikołaja uniwersytet wileński, założony przez Batorego w 1578 r.

1. maja 1863. Jeziorański pobił Moskali pod Kobylanką.

2. maja 1848. Mierosławski pobił Prusaków pod Wrześnią.

3. maja 1791. Uchwalenie konstytucji przez Sejm Czteroletni.

3. maja 1798. Polskie legjony pod dowództwem Dąbrowskiego weszły do Rzymu.

3. maja 1821. Zawiązało się w Warszawie tajne stowarzyszenie pod nazwą »Towarzystwo Narodowo-patrjotyczne«, które stawiało sobie za cel niepodległość Polski.

5. maja 1863. Czachowski pobił Moskali pod Ostrowem.

6. maja 1892. Wojsko moskiewskie morduje robotników polskich w Łodzi.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.